

T e r e s a H o ł ó w k a,
J a n u s z S i e k,
J a c e k H o ł ó w k a

Jerzy Pelc – wizerunek składany

Prof. Jerzy Pelc był nauczycielem wielu tysięcy studentów na różnych wydziałach Uniwersytetu Warszawskiego. Uczył ich logiki klasycznej i semiotyki, czyli podstawowych zasad wynikania logicznego i wiedzy o znakach językowych. Przede wszystkim inspirował ich jednak postawą światłego humanisty. Swych podopiecznych skłaniał do wyrobienia sobie jasnego stylu mówienia oraz wprawiał do nawyku umysłowej prostolinijności. Tę ostatnią, niezwykle trudną umiejętność charakteryzował odwołując się do renesansowych wzorców, głównie do stanowiska Franciszka Bacona. Dla Pelca, tak jak dla Bacona, zasadniczymi i najbardziej szkodliwymi błędami filozoficznymi były złudzenia stadnego umysłu. Bacon określił je jako *idola tribus*, *idola specus*, *idola fori* i *idola theatri*. Pierwsze z tych złudzeń było efektem plemiennego, ogólnoludzkiego zaślepienia, czyli naiwnej wiary, że istnieje niewzruszony porządek ustanowiony przez Boga albo przez celowo działającą naturę. Drugi błąd, czyli złudzenie jaskini, to naiwny prowincjonalizm i przekonanie, że własna religia, własna opcja polityczna i zabobony ukochane przez lokalną wspólnotę są podstawą wszelkiej prawdy i wszelkiego poznania. Trzeci błąd to bałagan i zamęt myślowy. Złudzenia rynkowe powstają przez pośpieszne myślenie oparte na niezręcznym doborze wyrazów. Ujawniają się w płątaniu słownej, pokrzykiwaniu, przekręcaniu sensu ustalonych wyrażen i naiwnej, emocjonalnej perswazji. Ten błąd interesował Pelca najbardziej. Uważał, jak Bacon, że chaos w dyskusji można ukrócić przyjmując lepsze definicje, argumentując staranniej i przestrzegając praw logiki. Widać to w jego artykule o klonowaniu. Czwarty błąd to spektakularne spekulacje. Złudzenia teatru panują wśród ludzi, którzy każdą trudność zamazują przez dodatkową komplikację wywodu, przez mnożenie wątków i dygresji, opieranie się na złudnych

analogiach i cytowanie wątpliwych autorytetów. Ten wątek mógł inspirować spór o filozofię Romana Ingardena. Teatr poznawczy to wykoślawiona nauka, zabobonna religia, wiara w cuda i snucie swobodnych opowieści w trybie apodyktycznym. Pewne koncepcje filozoficzne występują wyłącznie w tej wersji, a gdy próbuje się je krytykować, ich zwolennicy nie szukają dobrych argumentów, tylko protestują wypowiadając tyrady na temat wolności słowa lub powtarzają wcześniej wypowiedziane poglądy.

Jerzy Pelc był świetnie uodporniony na takie błędy i tego samego oczekiwał od swoich studentów, czytelników i współpracowników. Chciał, by jak on sam, wyrzekli się mentalnych złudzeń i łatwizny myślowej. To nie było proste zadanie, ponieważ wypełnienie postulatów Franciszka Bacona wymaga czujności, samokontroli i powagi. Wymaga ćwiczenia się w umiejętnościach z pogranicza retoryki i logiki praktycznej, a także stałej odporności na propagandę. Pelc przeszedł trudny kurs w tym zakresie. Podjął studia polonistyczne i filozoficzne na uniwersytecie podziemnym podczas drugiej wojny światowej, zatem z propagandą, kłamstwem i przemilczeniami spotykał się już wtedy, a także później, przez wiele kolejnych lat indoktrynacji komunistycznej. Miał świetnych nauczycieli, o których zawsze wypowiadał się ciepło i z szacunkiem. Byli to przede wszystkim Wacław Borowy na polonistyce i Tadeusz Kotarbiński na filozofii. Podziwiał ich i naśladował, ponieważ sądził, że istota pracy akademickiej sprowadza się do stworzenia specjalnej relacji, jaka powstaje między wymagającym mistrzem a pilnym uczniem. Praca akademicka nie polega na zapamiętywaniu tego, co zostało wydrukowane w książkach, ale na ćwiczeniu się w trudnej umiejętności wzorowania się na mistrzu bez ulegania ślepego naśladownictwu. Kto potrafił uporać się z tym zadaniem, wzięwszy sobie za mistrza wielkiego humanistę, sam zasługuje na to miano. Niestety, nigdy się chyba nie dowiemy, czy prof. Pelc był gotów kogokolwiek ze swych uczniów uznać za wzorowego humanistę, uwolnionego od czterech złudzeń piętnowanych przez Bacona. Możemy jednak założyć, że cenił przynajmniej tych, którzy się o to uczciwie starali.

Nasz szkic jest pobieżny i może nawet powierzchowny. Inaczej być nie może, ponieważ nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi Profesora. Ceniliśmy jego rzetelność i skrupulatność, niemal doskonałe uosobienie etosu inteligencji warszawskiej oraz troskę o jasność myśli w życiu publicznym. Ale nie byliśmy z nim na ty, co może dziś ma tę zaletę, że chroni nas przed ześlizgnięciem się na płaszczyznę fałszywej familiarności we wspomnieniach. Szanowaliśmy go i lubili, ale nie byliśmy jego powiernikami. Teresa napisała pod kierunkiem prof. Pelca pracę doktorską i pracowała przez kilka lat w kierowanym przez niego zakładzie. Janusz był dyrektorem Biblioteki w Instytucie Filozoficznym przez wiele lat i często pomagał prof. Pelcowi realizować tematy badawcze. Jacek asystował mu w Komitecie Etyki w Nauce przy Prezydium PAN oraz w PTF-ie.

Jerzy Pelc sam pisze, że na polonistycę fascynował się przede wszystkim Wacławem Borowym i Julianem Krzyżanowskim, choć były to postacie diametralnie różne.

Po Krzyżanowskim, polihistorze i syntetyku, który jak kombajn przeorywał [powinno być chyba „przecheszywał” – J.H.] szerokie zagony piśmiennictwa uprawiając z upodobaniem i talentem zjawiska masowe naszej literatury, jej folklor, z rozmachem zagarniając całe jej połacie od średniowiecza do baroku i od baroku do modernizmu, rzucając na rynek w rekordowym czasie, jakby z taśmy fabrycznej, wielotomowe opracowania edytorskie, Borowy wydawał się cichym zegarmistrzem, który uprawia swą precyzyjną sztukę nie po to, aby naprawiać zwykłe zegary czy zegarki, lecz aby żyć wśród arcydzieł sztuki, poznawać ich mistrzowski mechanizm i innym odsłaniać tajemnice jego doskonałości. Koneser sztuki, bibliofil, miłośnik teatru i tańca artystycznego, wielbiciel muzyki poważnej, smakosz poezji światowej, łowca zjawiska literackiego wyjątkowego, niepowtarzalnego, mistrz wnikliwej, „cienkiej” analizy, małych subtelnych form krytycznych, szkicu, eseju, zbieracz cymeliów; wielka wrażliwość, delikatność, przy tym dyskretny, nieco kpiarski humor i dowcip, niezaradność życiowa i pewna nieporadność manualna w codziennych czynnościach, mała odporność na wulgarność i brzydotę, twarda nieustępliwość w sprawach zasadniczych (Pelc: *Wizerunki i wspomnienia...*: 32–33).

Jacek: – Jak myślicie, do kogo prof. Pelc był bardziej podobny?

Teresa: – Do obu. Chciał organizować naukę i robił to bardzo sprawnie. Zdobył sobie pozycję pierwszego semiotyka w Polsce na wiele lat. Pod tym względem był jak Krzyżanowski. Jego seminarium, prowadzone od wczesnych lat siedemdziesiątych, było właściwie salonem przyciągającym wielkie postacie z całej humanistyki – semiotyków, logików, lingwistów, literaturoznawców, historyków, filozofów, pisarzy i artystów. Kto nie wziął choć raz udziału w takim posiedzeniu, nie doświadczał na sobie tego, na czym polega otwarta, swobodna debata utrzymana w ramach uprzejmej dyskusji, bez zaperzania się i pustych tyrad. U Pelca panował wzorowy porządek i dyscyplina logiczna. Sam chętnie zabierał głos, by przypomnieć o zasadach jasnego myślenia i uczciwej perswazji. Czyli działał z rozmachem i na wielką skalę. Ale z drugiej strony bardzo lubił skupić się na szczegółach. Jakby dla niego wymyślono porzekadło o diable, który tkwi w szczegółach. I tu stawał się jak Borowy. Bawiły go anegdota, cięte dowcipy, niespodzianie trafne argumenty. Polonistyka dała mu bardzo wiele, zanim został semiotykiem na filozofii.

Janusz: – Ale cieszyła go bardziej finezja niż zarządzanie. Czyli był bardziej jak Borowy: wolny duch pracujący nad tym, jak świat odbija się w kropli wody, czyli w systemie znaków. A za tym szło upodobanie do sztuki. Miał w domu bardzo dobry system stereo i często słuchał muzyki. To go łączyło

z Przełęckim. Podobno codziennie rano się gimnastykował i często w takt wykonań muzyki klasycznej, choć może to jest tylko żart na jego temat. On nie był przede wszystkim semiotykiem, tylko estetą. Czy nie pamiętacie nienagannych garniturów, dobrego płaszcza, stylowych okularów? W todze uniwersyteckiej wyglądał jak senator z rzymskiego Kapitolu. To chyba prof. Szaniawski powiedział, że szczęściarze rodzą się w czepku, a Jerzy urodził się w todze. Kochał teatr i pod tym względem był bardzo wybredny. Pewnych aktorów cenił bardzo wysoko, np. Łomnickiego, innych znacznie mniej. Kogo – nie zdradzę. Zresztą zwróćcie uwagę, że o Krzyżanowskim pisze z uznaniem, ale o Borowym z zachwytem.

Teresa: – Może masz rację. Tym bardziej, że Krzyżanowski tworzył syntezy. Literaturę porządkował wedle wiodących idei, takich jak racjonalizm, antyracjonalizm, pozytywizm, emocjonalizm itd. Pelc uważał, że na jakiegokolwiek syntezy w semiotyce jest za wcześnie. Najpierw trzeba stworzyć odpowiednie teorie i nad nimi pracować. Na przykład poważnie zaangażował się na pewien czas we współpracę z Thomasem Sebeokiem, autorem książki: *Global Semiotics*. Sebeok zajmował się komunikacją międzygatunkową. Zwracał uwagę na to, że zagrożone osobniki często chowają się w stadzie obcych gatunków. Czasem nawet udaje im się wyprowadzić takie stado przeciw wspólnemu wrogowi. Czy to naprawdę działa? Nie wiem. Trudno to zbadać. Ale sama nieraz widziałam będąc na wsi, że gdy kot zbliża się do gniazda jaskółek, one chętnie podlatują do ludzi i wracają do gniazda. Jakby liczyły na to, że człowiek za nimi pójdzie, a jak pójdzie, to mimowolnie kota odstraszy. W to mi łatwiej uwierzyć niż w tezę, że proszą nas o pomoc.

Jacek: – Ale czy to miałyby być główna inspiracja semiotyki?

Teresa: – Główna na pewno nie, ale intrygująca. Główną inspiracją było chyba coś innego. Niechęć do pustych sporów i tolerowania błędów w rozumowaniach. Na przykład często mylimy przyczyny z przypuszczalnymi warunkami poprzedzającymi. Albo bierzemy symptomy jakiegoś stanu rzeczy za początek realnego przebiegu odpowiedniego zdarzenia. Wyobraźcie sobie, że nagle mi się łamie noga u krzesła. Dlaczego? Złamanie może być następstwem tego, że noga była wcześniej pęknięta. Ale czy możemy powiedzieć, że pęknięcie było przyczyną? Oczywiście nie. Przyczyną było to, że Jacek usiadł z rozmachem na krzesło, albo że się kiwał. Ale chyba się zgodzicie, że przyczyny są zawsze opisywane nieprecyzyjnie i wybierane niechlujnie. Przecież Jacek zazwyczaj krzesel nie łamie, a przyczyny muszą być stałe. Ale z drugiej strony wady materiałowe też nie są przyczynami, bo nikt nie mówi, że samolot spadł

pod wpływem zmęczenia materiału. Mówimy, że spadł, bo ktoś nie dostrzegł zmęczenia materiału. Badając wydarzenia w świecie, równie często szukamy przyczyn, jak zwiastunów, warunków poprzedzających lub symptomów tego, co się może zdarzyć. Nic więc dziwnego, że jedni szukają związków przyczynowych, a inni, w tym Jerzy Pelc, badają świat poszukując związków semiotycznych, czyli chcą wiedzieć, co jest świadectwem, dowodem, symptomem lub przesłanką dla czegoś innego. Powiedziałabym nawet, że tak ogólnie rozumiana semiotyka odgrywa większą rolę w sądzie niż rozmaite teorie przyczynowości. Sędzia nie może, siedząc w sali sądowej, ustalić tego, co było przyczyną zabójstwa. I to nie jest jego zadaniem. Może natomiast ustalić, co jest dowodem na to, że raczej Kowalski popełnił zabójstwo niż Piotrowski. I co ewentualnie takiej hipotezie przeczy. Sędzia szuka oznak, a nie przyczyn. Jest semiotykiem, a nie kauzalistą.

Janusz: – Ja bym się bał takiego uogólnienia. Wolę, jeśli sędzia stara się ustalić, kto popełnił zbrodnię, a nie, na kogo padają podejrzenia. Ale to prawda, że często mamy do dyspozycji tylko poszlaki, a nie twarde dowody, i chyba Pelc to dobrze rozumiał. Ale czy kiedykolwiek powstanie ogólna teoria symptomów? Nie bardzo w to wierzę, choć prof. Pelc zrobił, co mógł, żeby zbudować jej fundamenty. W serii Biblioteka Myśli Semiotycznej pod jego redakcją ukazało się 51 tomów. Także z inicjatywy prof. Pelca zaczęło się ukazywać od 1970 r. czasopismo nieregularne „*Studia Semiotyczne*”. Ostatni: XXVIII–XXIX tom tego pisma pod redakcją prof. Pelca ukazał się w 2015 r. To było jego wielkie osiągnięcie. On integrował pracę wielu ludzi, a sam schodził na drugi plan. Świadomie, by nie dyrygować nauką. Był bardzo tolerancyjny i umożliwiał publikowanie. Zbierał razem wybitnych humanistów i otwierał karierę debutantom.

Jacek: – Przejdźmy zatem do filozofii i weźmy inne jego wspomnienie, z czasów, gdy jeszcze prof. Kotarbiński prowadził swoje seminarium.

Seminarium Tadeusza Kotarbińskiego jest szkołą, która nie tylko uczy, ale i wychowuje. Wychowuje nie przez wpajanie zasad, lecz przez demonstrowanie żywego przykładu postępowania intelektualnego, uprawiania filozofii, rozstrzygania problemów światopoglądowych. (...) Owe popołudnia i wieczory spędzone na zebraniach pod kierunkiem Tadeusza Kotarbińskiego (...) w niespokojnych latach 1942, 1943, 1944 – zaliczam do ważnych i przełomowych w moim życiu. One bowiem zadecydowały o dalszej mojej drodze intelektualnej, wtedy właśnie – tak to odczuwam – kształtowała się moja postawa umysłowa, wtedy po prostu uczyłem się myśleć. Przedtem, tak jak niejednemu może studentowi polonistyki, zbyt łatwo i gładko pisało mi się i mówiło. Modelowanie słów nie zawsze było modelowaniem myśli. Od owego zaś czasu nauczyłem się mieć trudności w formułowaniu tego, co mam przekazać innym. Słowa zaczęły mi stawiać opór (Pelc: *Wizerunki i wspomnienia...*: 47).

Jacek: – To trochę tak brzmi, jakby nauka filozofii blokowała autentyczność i swobodę wyrazu, jakby narzucała jakąś sztuczną, bezosobową poprawność. Czy naprawdę tego chcemy i mamy tak wielkie trudności z wyrażaniem myśli?

Teresa: – Tacy byli wszyscy wielcy logicy, których znałam osobiście: pani Kotarbińska, Pelc, Szaniawski, Przełęcki, Stanosz. Oni mi mówili wielokrotnie, jak niełatwo jest im dokładnie wyrazić swoje przekonania. Zresztą nie chodziło o to, żeby trafnie wyrazić gotowe przekonania, tylko o to, że najczęściej dla siebie samych nie precyzujemy swoich myśli, a zatem nie możemy ich bezpośrednio opisać. Jasne wyrażenie własnych myśli to mordęga, bo z dnia na dzień poprzestajemy na myślach mętnych i chwiejnych. Czyli nie umiemy niczego powiedzieć jasno, dopóki nie spróbujemy powiedzieć tego samego kilka razy. Gdy pierwszy raz coś mówimy, to tylko nam się wydaje, że myślimy i mówimy jasno. Dopiero gdy zgaśnie to pierwsze naiwne wrażenie, widzimy, że nie udało się nam powiedzieć dobrze tego, co chcieliśmy wyrazić, i dostrzegamy, że wszystko, co mówiliśmy, można było powiedzieć trafniej i jaśniej. Stanosz tak mi mówiła o swoich tłumaczeniach, Przełęcki o swoich artykułach.

Janusz: – Tak, Tereso, masz rację i ja ciebie rozumiem. Niejasność bierze się z tego, że najczęściej, gdy coś mówimy, to nie zdecydowaliśmy jeszcze, jakie jest naprawdę nasze stanowisko. Czy Pelc należał do szkoły lwowsko-warszawskiej? Niby wszyscy tak mówią, ale ja wcale nie wiem, czy to prawda. Oczywiście, urodził się we Lwowie, ale to nie znaczy, że był pozytywistą albo reistą. Ja sądzę, że on zawsze chciał myśleć krytycznie o świecie i dlatego nie wybrał żadnego trwałego stanowiska. Wybrał styl, a nie treść.

Teresa: – Zgadzam się. Pelc nie chciał zajmować stanowiska ontologicznego. Jego ontologia nie interesowała. On chyba nawet sądził, że ontologię trzeba zastąpić semiotyką. Zamiast mówić o tym, jaki jest świat, lepiej żebyśmy mówili, jak go można opisać.

Jacek: – To dość często proponowane rozwiązanie, np. przez Carnapa. Ale czy ono naprawdę działa? U Russella jest taki argument, że nie można opisać świata samymi uniwersaliami. Wiedza opisowa zawsze się opiera na wiedzy bezpośredniej. Muszę najpierw wiedzieć, co to jest barwa czerwona, niebieska i zielona, a potem dopiero mogę mówić, że pomidor jest czerwony, niebo niebieskie i trawa zielona. Jeśli ktoś jest daltonistą i nigdy nie widział zielonej trawy, to nie warto mu tłumaczyć, czym się różni zieleń berlińska od szmaragdowej. Czyli nie można „modelować myślenia” bez lepszego poznania świata. Doskonalenie wyrazu myśli niewiele pomaga.

Teresa: – Ale z drugiej strony, nikt nie pozna świata lepiej tylko dlatego, że mu się dłużej przygląda lub mu na tym bardziej zależy. To nie jest kwestia życzeń i intencji, tylko nagromadzonej wiedzy. Nie wystarczy lepsze skupienie uwagi. Trzeba znaleźć nowe racje i nowe argumenty. A póki ich nie ma, trzeba dbać o znak, język i rzeczywistość. Pamiętam pewną rozmowę z Pelcem. Ogarnął go kiedyś dręczący niepokój, czy ja aby naprawdę jestem wierząca. On sam nie był religijny i chyba podejrzewał, że ja religijność udaję, albo jestem bezkrytyczna wobec własnych myśli i przekonań. Zaczął mnie przepytywać: „Czy Pani jest naprawdę wierząca? Całkiem serio i dosłownie?” Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. On szukał jakiejś pewności w moim imieniu i chyba chciał mi pomóc. Ale mnie to nie było potrzebne. Ja nie potrzebowałam pewności. Tak, byłam wierząca. Ale to tylko znaczyło, że byłam bardziej wierząca niż niewierząca. To z kolei nie wystarczało Pelcowi. On chciał jasności w umyśle. Zakładał, że aby wierzyć, trzeba wiedzieć coś zasadniczo więcej, niż żeby nie wierzyć. Ja tak nie myślałam. Wystarczy tylko trochę więcej wiary niż niewiary i już się jest wierzącym. Może jego samego trapiła jakaś niepewność. Ja często miałam wrażenie, że Pelc zachowywał się tak, jakby ciągle osaczały go sprawy, których nie da się załatwić do końca. A ja byłam pragmatystką.

Jacek: – Ja też miałem takie wrażenie, że Pelca ciągle dręczyły jakieś skrupuły, jakby niepokoiła go niejasność ludzkich intencji, poglądów, dążeń. Chciał wszystko widzieć jednoznacznie, a to jest trudne albo niemożliwe. Przypominam sobie w jego pismach opis pewnej niezgrabnej sytuacji, która się przytrafiła prof. Kotarbińskiemu podczas wojny, gdy prowadził zajęcia na podziemnym uniwersytecie.

Minął październik i listopad. Pierwsze tygodnie wykładów mieliśmy za sobą. Zbliżało się Boże Narodzenie. Po ostatnim wykładzie przedświątecznym profesor Kotarbiński wyjął kalendarz i powiedział:

– Następny wykład wypada pierwszego stycznia w Nowy Rok, a seminarium 6 stycznia na Trzech Króli. – Jeśli państwo sobie życzą, mogę przyjść w oba te dni. Zapanowała chwila milczenia. Byliśmy zakłopotani. Wiadomo, że studenci na całym świecie wołają święto niż najciekawszy wykład. Z drugiej strony, jakże wypadało powiedzieć profesorowi, że zrobimy ferie, skoro zadeklarował gotowość przyjścia. Panna Morysińska, speszona, bąknęła:

– Prosimy bardzo.

Gdy Kotarbiński wyszedł, skrzyżowały się wyrzuty koleżanek i tłumaczenia dobrze wychowanej gospodyni: – No przecież same rozumiecie. Nie mogłam powiedzieć, żeby nie przychodził. Szeptem, jak o wielkim skandalu, informowała bardzo przejęta jedna z nich: – Czy wiecie, że on jest ateistą? W Boga nie wierzy! Tak powiedział. Na jednym komplecie. Oni go zapytali. I powiedział sam: „Nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak Bóg osobowy”.

W rzeczywistości geneza tego wydarzenia była – niezależnie od ateistycznych poglądów Kotarbińskiego – inna. Zaważyła tu jego wielka skrupulatność. Oto za naukę płaciliśmy miesięczną ustaloną kwotę. Profesor nie chciał, żebyśmy zapłaciwszy, stracili aż dwa wykłady, a zwracanie pieniędzy już wypłaconych wydało mu się dla obu stron krępujące (Pelc: *Wizerunki i wspomnienia...*: 41).

Jacek: – Czyje skrupuły są tu wyrażone? Pelca czy Kotarbińskiego?

Teresa: – No, chyba Kotarbińskiego, przecież Pelc tak to właśnie przedstawia.

Janusz: – Ja też tak sędzę. Tu nie występuje konflikt religijny, tylko pojawił się pewien problem obyczajowy. W Polsce wszyscy obchodzą Boże Narodzenie. Takie świętowanie nie zawsze jest deklaracją wiary religijnej, tylko może się sprowadzać do udziału w powszechnie przyjętym obrządku. Może Kotarbiński też chciał zostać w domu na wigilię, ale nie wypadało mu tego powiedzieć. Zapytał, co chcą zrobić jego studenci, i oni go poprosili, żeby poprowadził zajęcia. Problem powstał na chwilę i został rozwiązany.

Jacek: – Może macie rację, tego nie mogę wykluczyć. Ale myślę, że mogło być inaczej. Jeśli Kotarbiński był tak wielce skrupulatny, jak pisze Pelc, to mógł przecież powiedzieć: „Proszę, niech Państwo zdecydować, czy się spotykamy na Święta i na Trzech Króli. Jeśli Państwo wybiorą świętowanie, to w następnym miesiącu potracimy mi za dwa spotkania, które się nie odbyły”. To by było otwarte, naturalne i niekrępujące. Myślę, że Kotarbiński nie czułby się zażenowany takim wyłożeniem sprawy. Przecież gdyby się miał czuć czymkolwiek skrępowany, to raczej tym, że milcząc przymusił studentów, by mu płacili i szli na zajęcia, chociaż nie mają na to ochoty. Chyba czymś gorszym jest lekkie wymuszenie zapłaty niż otwarte postawienie sprawy finansowej. Zgadzacie się ze mną?

Teresa i Janusz: – Nie. Nie.

Janusz: – Weź pod uwagę, że to były inne czasy. Delikatność wymagała, by pieniądze podawano w kopercie. Nikt na pewno nikogo nie chciałby oszukać. A gdyby już doszło do jakiejś pomyłki, to poszkodowany powinien był ją ukryć, by winnego nie zawstydzić popełnionym błędem. Pieniądze były tabu. Człowiek musiał się nimi posługiwać, ale w sposób niewidoczny i niewywolujący konsternacji.

Jacek: – Januszu, chyba przesadzasz. To była wojna. Jakie mogą być tabu, gdy ludzie nie mają na życie, spotykają się po kryjomu, ryzykują aresztowanie i wywózkę? Wtedy delikatność uczuć musi zejść na drugi plan.

Teresa: – Nie wiem. Może tak wcale nie było. Janusz ma chyba rację. Właśnie dlatego, że życie się stało trudne, prymitywne, szorstkie i grubiańskie, dawne tabu nabrało mocy. Gdy brud narasta, czystość jest w wyższej cenie. Co na to powiesz?

Jacek: – Ja to widzę inaczej. Sadzę, że to prof. Pelc był uwrażliwiony na tabu, a nie prof. Kotarbiński. Pelc wczuwając się w rolę Kotarbińskiego, czuł się skrępowany i zawstydzony. To Pelca paraliżowała myśl, że jeśli dojdzie do niezamierzonego przywłaszczenia honorarium, to problem stanie się zenujący i kompromitujący. Pelc, jak go pamiętam, był często skrępowany i może przesadnie ostrożny – lub jak we Lwowie mówiono: „uważający”. Pamiętajcie, że Pelc był ze Lwowa, a Kotarbiński nie, i to Pelc nosił w sobie austriacką galanterię, a nie Kotarbiński.

Teresa: – Sam jesteś ze Lwowa. Może lepiej wyczuwałeś jego nastroje i lęki. Ale nie wmawiaj nam, że Pelc lubił sytuacje gmatwać, zaplątywać i komplikować. On się uważał za „jasnościowca”.

Jacek: – Tym bardziej. Kto dba o czyste ręce? Brudas czy czyścioch?

Teresa: – No wiesz? To jakaś naiwna psychoanaliza. Twoim zdaniem Pelc wychwalał „jasnościowców”, bo sam miał tendencję do tego, by być „anty-jasnościowcem”? A Kotarbińskiemu przypisywał skrępowanie, bo sam miał tendencje do nadmiernego skrępowania? Ja w to nie wierzę, a znałam go lepiej od ciebie.

Jacek: – To zastanów się, jak to było podczas jubileuszu Adama Schaffa. Jest w Internecie krótkie sprawozdanie. W Pałacu Staszica zorganizowano uroczystość na 90-lecie urodzin Schaffa. Wszyscy składali uprzejme gratulacje, przypominali zasługi, dziękowali za pomoc. Natomiast Pelc wystąpił z nieoczekiwaną, werydyczną przemową, streszczoną w Internecie przez jednego z obecnych (<http://www.lechstepniewski.info/czytanki/schaff.html>):

Na początku lat sześćdziesiątych [Schaff] zdecydował, by wprowadzić do Instytutu socjologii, co samo w sobie mogło nawet przynieść pewne korzyści. Zrealizowanie tej inicjatywy wymagało jednak uszczuplenia stanu posiadania filozofii i wywoływało obawy, że przy okazji zredukuje się resztki „filozofii idealistycznej” i logiki, wprowadzi zaś na to miejsce materializm historyczny w przebraniu socjologii. Profesor Pelc jako sekretarz Instytutu protokołował zebranie Rady Naukowej, na którym ustalono listę zmian i zadbał o to, „by protokół był niemal tak dokładny jak stenogram”. W istocie, niebawem okazało się, że dyrektor Schaff – chyba z jakiegoś dialektycznego nawyczku – obiecał znacznie więcej,

niż mógł dotrzymać, i na kolejnym zebraniu zaczął się z poprzednich ustaleń wycofywać. Gdy obecni zacytowali protokół, profesora Schaffa ogarnęła pasja. Zrazu zaczął krzyczeć, że żąda zdjęcia protokołu, potem zaś skupił się na jego zbyt starannym autorze. Wówczas profesor Ossowski, „w wypiekach, przejmującym szeptem powiedział: *«Mam nadzieję, że nie wyzyska Pan swojej przewagi, żeby zaszkodzić Pelcowi»*. Wkrótce potem – wspominał na jubileuszu profesor Pelc – *zostałem usunięty ze stanowisk sekretarza naukowego Instytutu i sekretarza Komitetu Filozoficznego PAN. Moje miejsce zajął Jerzy J. Wiatr*”. Profesor Pelc dodał jednak zaraz, że nie chowa w sercu urazy. *„Adam Schaff jest człowiekiem kulturalnym i życzliwym ludziom – stwierdził – i dymisja przybrała postać utraty przeze mnie tylko drugiego etatu, natomiast na Uniwersytecie pozostałem”*. Z jeszcze większą wyrozumiałością potraktował wcześniejszą działalność Adama Schaffa, podkreślając, że *„gdyby komisarzem filozofii polskiej w okresie stalinowskim został fanatyk albo tępą prostak, być może nasi wielcy filozofowie byłiby stróżami nocnymi czy palaczami w kotłowniach”*, zamiast pisać swe dzieła *„w czasie przymusowych, ale jednak płatnych urlopów”*.

Jacek: – Schaff poczuł się obrażony i wyszedł z sali, rujnując resztę swego własnego jubileuszu. Ten epizod jest różnie oceniany przez komentatorów. Jedni uważają, że Pelc wybrał zły moment i przesadził. Inni sądzą, że ktoś wreszcie otwarcie wygarnął Schaffowi to, co wielu innych szeptało sobie na ucho. Ja tu widzę jeszcze inny i może ważniejszy aspekt: niejasność intencji, skrępowanie własnymi uczuciami, hamowaną niechęć i uprzejmą pobłażliwość. Pelc nie oskarżał i nie osądzał, tylko strofował i lekko ironizował. Powstał z tego tylko ambaras i żadna sprawa nie została załatwiona.

Janusz: – Nie powinniśmy tego przypominać. To był niejednoznaczny incydent, godny ubolewania. A właściwie teraz robisz to samo, co Pelc. Przy szczególnej okazji, wymagającej powściągliwości i taktu: *de mortuis nihil nisi bene*, chcesz wyrównywać rachunki.

Jacek: – Wcale nie chcę niczego wyrównywać, tylko staram się zrozumieć sens zarzutu Pelca. Schaff obiecał więcej, niż dotrzymał. Dobrze, to wolno powiedzieć. Ale to nie koniec sprawy. Czy byłoby lepiej, gdyby Schaff mało obiecał i równie mało zrobił, pławiąc się w satysfakcji z własnej konsekwencji? To prawda, że w relacjach z innymi był pewny siebie, arogancki i skłonny do wpadania w gniew. Ale takich uchybień nie przypomina się podczas jubileuszu. Trzeba mówić prawdę, ale ogłędnie, a nie ironicznie. Ja w sumie o Pelcu myślę z uznaniem, bo mało komu zawdzięczamy tak wiele jak jemu, jeśli chodzi o demaskowanie propagandy i metod indoktrynacji. A skoro myślę i mówię o nim dobrze, to mam też prawo powiedzieć, co mnie niepokoiło w jego postawie: jakaś emocjonalna niejednoznaczność, niechęć tłumiona pobłażliwością, powściągliwość przerywana wybuchem słabo maskowanego gniewu. Schaff miał 90 lat i to było jego święto. A Pelc nie chciał

mówić o Schaffie z uznaniem równoważonym przez wypominanie błędów, tylko chciał się z nim rozliczyć. Wolno mówić, że Schaff był politrukiem, że sponiewierał Ajdukiewicza w „Myśli Filozoficznej”, że pisał prymitywne pamflety propagandowe. Ale trzeba pamiętać, że z drugiej strony, to dzięki niemu filozofia przetrwała w Polsce w dużo lepszej kondycji niż w innych krajach komunistycznych. Schaff był komunistycznym wcieleniem barona Münchhausena, a Pelc w swych pretensjach domagał się, by Münchhausen był dobrym dyrektorem IFiS-u PAN. To całkiem inna bajka.

Janusz: – Zostawmy. To smutna historia.

Jacek: – Dobrze, wróćmy do „jasnościowców”. Ja bym powiedział, że obrona jasności myślenia to największe osiągnięcie programowe filozofii Pelca.

Antyjasnościowca nietrudno znaleźć m.in. wśród eseistów filozoficznych, którzy usadowili się na stanowiskach akademickich. Niektórzy, pozbawieni samokrytycyzmu, bałamucą swoich wychowanków w dobrej wierze, myśląc, że wlewają im do głów prawdziwą mądrość, a nade wszystko, że rozwijają ich duchowo. Wysoka samoocena często bywa udziałem umysłowości skłonnej do – nazwijmy to – heideggerofilii. To *ad hoc* ukute miano odnosi się nie tylko do miłośników Heideggera, lecz do wszelkich antyjasnościowców. „Jasnościowcami” Tadeusz Kotarbiński nazwał kiedyś żartobliwie tych filozofów, a może szerzej – tych humanistów, którzy starają się myśleć, mówić i pisać w sposób jasny, jednoznaczny i zrozumiały, świadczący o ich kulturze logicznej. Sądzę, że wspólną cechą antyjasnościowców – mam tu na myśli typ idealny – jest nie tylko niedostatek kultury logicznej, najczęściej wywołany brakiem elementarnego wykształcenia w zakresie logiki, ale niechętny (nie lubi się tego, czego się nie zna, a znać się powinno) czy nawet wrogi do niej stosunek, nie pozbawiony agresywności, a wynikający z nieporozumienia. Myślą mianowicie, że logika to wyłącznie logika matematyczna. Ta zaś przejmuje ich strachem, podobnie jak matematyka, przed którą szukali schronienia na studiach humanistycznych (Pelc: *Filozofia i eseistyka...*: 110).

Teresa: – Powiem wam, jak ja rozumiem ten podział. To nie jest podział na humanistów i formalistów. Jasnościowcami byli Szaniawski, Przełęcki i Wolniewicz. Każdy z nich był zdolnym formalistą, ale nie za ten talent ich cenimy, tylko za ich zdolność rozumienia problemów. I Pelc też to miał, choć się z tą umiejętnością nie obnosił.

Janusz: – Tak. On swą umiejętność wydobywania jasnych myśli wykorzystywał podczas recenzowania artykułów do druku. Był bardzo wnikliwy i chętnie proponował poprawki. Umiał to zrobić tak przekonująco, że w sumie bardzo niewiele artykułów trzeba było odrzucać. A co najważniejsze, bodaj nigdy nie odrzucił jakiegś propozycji ze względu na wyrażone w niej poglądy, co najwyżej ze względu na niedostateczną jasność ich wyrażenia.

Jacek: – Ja też tak myślę. Pelc umiał być życzliwy i otwarty. Umiał być śmiały i wdawał się w polemiki. Niechętnie bo niechętnie, ale bodaj zawsze w dobrej sprawie. Pod koniec lat pięćdziesiątych doszło do sporu na temat Ingardena. Pelc napisał, że według Ingardena utwór literacki nie istnieje jako „nagi szkielet”, czyli nie daje się poznać. Na to odpowiedzieli Danuta Gierulanka oraz Andrzej Półtawski, że sam Ingarden twierdził coś przeciwnego, ponieważ uznawał „możliwość poznania dzieła jako tworu schematycznego w jego rekonstrukcji” (Gierulanka, Półtawski: 143). Zostawmy subtelności. Pelc wystąpił jako zwolennik reizmu i twierdził, że analiza rzekomych przedmiotów w dziele literackim, to nie jest opis żadnych rzeczy. Rzeczy istnieją same i są realne. Postacie w literaturze są fikcyjne, a nie realne. Rozumiał jednak, że według Ingardena dzieło literackie istnieje wtedy, gdy jest odczytywane ze zrozumieniem, gdy jest prezentowane na scenie lub odtwarzane w filmie. Inaczej mówiąc, trzeba, by to, co zostało opisane w treści dzieła, jakoś się rozwijało w czasie i jakoś się realizowało w fizycznym świecie jako ciąg scen zaprojektowanych przez autora dzieła. Ten ciąg scen w literaturze realistycznej pretenduje do tego, by składać się na ciąg realnych zdarzeń, które zaszły rzekomo w świecie fizycznym. Ale to jest nieprawda. Świat realny nie składa się z rzeczy fizycznych i intencjonalnych, tylko z tych pierwszych. Pelc miał rację, moim zdaniem, gdy domagał się, żebyśmy odróżniali realne istnienie rzeczy fizycznych od intencjonalnego istnienia przedmiotów uobecnionych w dziele literackim. Fenomenologowie woleliby, żebyśmy uznali, że ta różnica daje się artystycznie pominąć. Trudno tu coś powiedzieć, co zadowoli wszystkich. Reista mówi, że treść dzieła to zmyślenie. Fenomenolog mówi, że to nie jest dowolne zmyślenie, bo jednak „rekonstrukcja tworu schematycznego” musi przebiegać w zgodzie z opisem podanym przez twórcę dzieła. Zapal polemiczny może jednak dyskutantów doprowadzić do tego, że przedmiot sporu znika i zostaje suchy żargon, w którym omawia się sprawy drugorzędne. I tak niestety się stało.

Przynajmniej jedna rzecz wymaga (...) wyjaśnienia. Oto odróżnienie wyglądu i rzeczy wraz z jej własnościami nie prowadzi bynajmniej do tworzenia „obnażonych, doskonale bezjakościowych przedmiotów”. Gdyż trzeba – zgodnie z Ingardenem – odróżnić „daną naocznie” czerwień kuli od „leżącego u jej podłoża” układu treści wyglądownych, o którym bynajmniej nie można powiedzieć, że jest „jednolicie czerwony”, ale który stanowi jej „przejaw”, konieczny do tego, aby nam kulę uobecnąć (Gierulanka i Półtawski: 147).

Jacek: – Można cenić analizy estetyczne Ingardena bez przyjmowania jego ontologii, w której występują „układy treści wyglądownych” i „bezzakościowe przedmioty”. Pelc chyba chciał to właśnie zrobić. Zwolennicy Ingardena oczekiwali czegoś więcej. Bezpodstawnie, bo Pelc był jasnościowcem. Później

zresztą Gierulanka i Półtawski chętnie brali udział w seminariach Pelca. Konflikt teoretyczny nie zamienił się w konflikt personalny. Podobnie zresztą jak konflikt między prof. Jerzym Pelcem i prof. Barbarą Skargą na temat filozofii Cezarego Wodzińskiego. Pelc był zdyscyplinowanym polemistą, szanującym adwersarzy i argumentującym *ad rem*. Tego powinniśmy się od niego uczyć. Natomiast nie był dobrym panegirystą.

Teresa: – Przestań. Dosyć już o tym jubileuszu.

Jacek: – Dobrze, więc wracamy do „jasnościowstwa”, czyli, jak się okaże, do „jasnowidzenia”.

Teresa: – Z tobą nie da się poważnie rozmawiać.

Jacek: – Zaraz zobaczymy. Po wojnie Pelc zarabiał 550 zł i wtedy dowiedział się, że pani Domańska, która była medium Juliana Ochorowicza, przyjmuje w swoim gabinecie jako jasnowidz. Pelc wybrał się do niej, wiedząc, że konsultacja kosztuje 500 zł. Postawił sobie dwa cele. Chciał przetestować Domańską i dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy zaginęli podczas wojny. Wizyta była z góry umówiona.

Patrząc mi uporczywie w oczy pani Domańska sformułowała zwięźle, rzeczowo i nadzwyczaj trafnie charakterystykę mojej osobowości. Poprzedziła to chwytem reklamowym: sięgnęła po papierosy, zrobiła taki gest, jakby zamierzała mnie poczęstować, ale w pół drogi cofnęła rękę mówiąc: „Ach nie, przecież pan nie pali”. Druga część wizyty miała odmienny przebieg. Pani Domańska powiedziała: „Teraz mogę panu opowiedzieć o K.” Postanowiłem ją wypróbować i oświadczyłem, że nie wiem, o kogo chodzi. Spojrzała na mnie niechętnie, wzięła do ręki pióro i w bloku nakreśliła kilka zygzaków; pisząc nie zginała ręki w przegubie: dłoń i przedramię były usztywnione, wyglądało to tak, jakby ktoś ujął jej rękę w łokciu i wprawił w ruch powodując pisanie owych zygzaków. Przeczytawszy je – wyglądały jak pięciocentymetrowy odcinek elektrokardiogramu – powiedziała krótko: „chodzi o Klemensa”. A ja z uporem, że nadal nie wiem. Była zniecierpliwiona: „doskonale pan wie, nie zna pan żadnego innego Klemensa, ale dobrze, podam panu pierwszą literę nazwiska”. Znowu parę zygzaków i przeczytała „s”, a ja, że nie wiem. Wtedy dosyć ostro mi powiedziała: „Jeśli nie szkoda panu pieniędzy, to podam panu całe nazwisko, ale za to nie dowie się pan innych rzeczy”. Obstawałem, ona podała, następnie określiła, co się z nim dzieje i kiedy wróci. Okazało się to później trafne, a ostatnia informacja dotyczyła przyszłości, nie mogłem więc jej przekazać telepatycznie, ani jako treści własnej wiedzy, ani jako domysłu. Później już moja rozmowa z p. Domańską polegała na tym, że albo ja pytałem o kogoś, podając tylko pierwszą literę imienia lub nazwiska, albo ona to czyniła, albo inaczej określała daną osobę, np. „teraz opowiem panu o osobie, która podaje rękę tak” i wyciągnęła do mnie rękę trzymając sztywną dłoń, niby małą raketę do ping-ponga. Później wypisywała wiersz, albo dwa wiersze swoich zygzaków i czytała to, co było tam

napisane. Gdy zapytałem o L.R., zygzaki urwały się w połowie linijki, ręka odskoczyła na prawy margines i spazmatycznym ruchem nakreśliła krzyż – „poległ koło kościoła na rogu Długiej i Freta”. Późniejsza ekshumacja to potwierdziła (Pelc: *Wspomnienie o Klemencie*...: 252).

Jacek: – Dlaczego Pelc miał różne standardy? Ciebie pytał – inna rzecz, że wiele lat później – dlaczego jesteś religijna bez dostatecznej racji, a Domańskiej wierzył bez dostatecznej racji. Zgodzisz się z tym?

Teresa: – Nie wiem. On mógł sobie mówić, że ja nie mam żadnych empirycznych przesłanek, by wierzyć w Boga, a on ma dobre empiryczne przesłanki, by wierzyć Domańskiej. Wierzyć, to nie znaczy rozumieć. On nie rozumiał, jak Domańska potrafi ustalić, gdzie jest Szaniawski, ale przekonał się, że ona umiała to zrobić. Odgadła datę powrotu Klemensa i miejsce śmierci postaci L.R. Prawda rozumiana w sensie semantycznym nie potrzebuje uzasadnienia. Jest relacją między sensem zdania a faktami opisywanymi w tym zdaniu. Moja postawa go drażniła, ponieważ sądził, że ja lekceważę wymaganie, by swe poglądy opierać na racji dostatecznej. Ja jednak sądzę inaczej. Ja jestem holistyczną pragmatystką...

Jacek: – Pierwszy raz słyszę, że ktoś taki istnieje...

Teresa: – Więc słuchaj dalej. Ja mam obraz świata, w którym istnienie Boga jest niewykluczone, natomiast istnienie p. Domańskiej jest wykluczone. Nie ma ludzi, którzy widzą przyszłość, wędrują wyobraźnią po świecie i dostrzegają zwłoki niepochowane pod ziemią, mają jakiś rodzaj ponadludzkiej wszechwiedzy. Dla mnie Domańska to zabobon, a dla Pelca ja byłam zabobonem.

Janusz: – Nie możesz mówić o p. Domańskiej, że to zabobon. Janusz Krajewski, mój poprzednik na stanowisku kierownika połączonych bibliotek, zebrał całe archiwum na temat Ochorowicza. Ochorowicz nie był naiwny ani łatwowierny. W gruncie rzeczy postępował jak Pelc. Zbierał materiały do nowej teorii. Pelc zbierał do teorii semiotycznej, a Ochorowicz do teorii metempsychicznej. Ochorowicz zajmował się psychologią eksperymentalną jak William James, który też wierzył w jasnowidzom. Ochorowicz studiował w Lipsku u Wundta, później pracował w Warszawie i we Lwowie jako docent. Zajmował się hipnozą, telepatią, mediumizmem, bo to są ciekawe tematy. Wyprzedzał Freuda i nie budował swoich przekonań na psychicznej metafizyce, w której panuje id, ego i superego. To była rzetelna nauka, a nie jakieś nieweryfikowalne fikcje.

Jacek: – Januszu, ja się tu z tobą nie zgadzam. Empiryczne obserwacje nieoparte wyjaśnieniem, to nie jest nauka. Nauka musi wyjaśniać. Bez wyjaśnienia fatamorgana będzie faktem realnym. Powiem ci, że jasnościowiec też się czasem daje nabić w butelkę. Szczególnie gdy uzna, że trzeba się chronić tylko przed zwidami wyobraźni, a nie przed iluzjami zmysłów. Ja nie wiem, jak działała p. Domańska. Może nawet Ochorowicz tego nie wiedział. Ale dopóki nie wiem, to nie uznaję, że widziała przyszłość. Może zgadywała, może miała jakieś trafne przypuszczenia, może coś wywnioskowała ze strzępków wiadomości zasłyszanych od kogoś, kto ostatni widział L.R. przed śmiercią. Zawsze jest trudno wybierać między sceptycyzmem a empiryzmem. Dlatego właśnie nauka jest nam potrzebna jako zwarty i systematycznie powiązany obraz świata. By nie zabrnąć w niewytłumaczalne zjawiska i w doświadczanie cudu.

Teresa: – Zaraz, zaraz. Nie róbcie z Pelca jakiegoś naiwnego empirysty. On miał ciekawy, świecki, konsekwentnie zbudowany obraz świata. Pamiętacie, co pisał na temat klonowania człowieka? On też był pragmatystą, i może ja to mam po nim. Mogę podać ten fragment.

Przemawia mi do przekonania opinia, że prędzej czy później, raczej zresztą później, dojdzie do sklonowania człowieka. Wszelkie dotychczasowe wielkie wynalazki, odkrycia, czy osiągnięcia techniczne doczekały się realizacji; wiele z nich wbrew początkowym sprzeciwom, niekiedy gwałtownym. (...) Rację przyznaję tym, którzy oponują przeciw ograniczeniom wolności badań naukowych. (...) Uważam, że same badania naukowe są pod względem etycznym neutralne, nie są zaś neutralne niektóre cele i następstwa. (...) Zgadzam się z wypowiedziami kwestionującymi przydatność antytezy naturalny-sztuczny do oceniania procedur genetycznych. Starałem się kiedyś – w innym celu – zdemaskować notoryczną wieloznaczność każdego z tych słów i wykazać, że to samo, co w jednym znaczeniu uchodzi za sztuczne, w innym bywa określane jako naturalne. (...) Dyskusje na temat klonowania człowieka wywołują w uczestnikach emocje. Często prowadzi to do egzaltacji, która podsuwa wyrażenia podniosłe, uroczyste i górnolotne. Dzielnym fachowcem, zaprawionym w pożytecznej robocie laboratoryjnej lub klinicznej, daje się wtedy skusić mętnym metaforom i personifikacjom: zaczyna uprawiać twórczość literacką – ulubione zajęcie niektórych humanistów – porzuca konkrety i zapuszcza się w takie abstrakcje, jak: integralność, tożsamość, świętość, godność, podmiotowość, człowieczeństwo, człowiek jako cel i wartość, nie troszcząc się o ich zdefiniowanie, czy choćby wyjaśnienie (*Głos...*: 6–9).

Teresa: – Pelc miał konsekwentnie zbudowany obraz świata. Jego główną tezą było przekonanie, że klócimy się o istotne sprawy używając żałośnie nieporadnego i mylącego języka. W tym samym tekście cytuję jakiegoś oponenta: „Jest zdumiewające, z jak nikłym oporem spotkała się ta ludożerca praktyka...” (*Głos...*: 11). Przytacza pogląd, że „dusza ludzka jest tym, co czyni nas ludźmi i jest bezpośrednio stwarzana przez Boga”. Następnie pyta:

„Czy wynika z tego lub jakichś innych wierzeń religijnych, że w ową «duszę ludzką stworzoną przez Boga» nie może być wyposażony klon człowieka”? (Głos...: 14)

Jacek: – Tu masz na pewno rację. Pytamy, czy płód jest człowiekiem, a nie o to, czy proto-organizm należący do gatunku *Homo sapiens* ma uprawnienia jednostki ludzkiej. Pytamy, czy wolno sklonować człowieka, tak jakbyśmy pytali, czy wolno hodować gołębie na strychu, a nie o to, czy wolno w dobrze uzasadnionym przypadku wyprodukować dwie jednostki ludzkie identyczne pod względem genetycznym. Pelc słusznie piętnuje emocjonalny i histeryczny styl polemizowania. Chyba z tego powodu w późniejszych latach nie lubił telewizji i tak zwanych debat telewizyjnych, dla zamydlenia oczu czasem nazywanych debatami oksfordzkimi. Ten Oksford ma polegać na tym, że ktoś broni stanowiska, jakie mu przypisze mechanizm losowy. Człowiek na wizji dowiadyuje się, jakiej tezy ma bronić. To się powinno nazywać debatą z Monte Carlo. I ja tu widzę zbawienny wpływ Pelca. Może był pedantem...

Teresa: – ...Oj był, był. O mnie mówił „Hołowczyna”, choć ja wołałam być „Hołowska”, jak mój mąż. Pytał mnie także: „A co słychać u Pani świekrów?” Co się dziwicie? Mąż ma teściów, ale żona ma świekrów. Myślałam, że wiecie... Ja jednak sądzę, że on żartował. Nie żądał tego, żeby język nigdy się nie zmieniał. Testował tylko, jak daleko już się zmienił. Ale konserwatystą był naprawdę. Miałam napisany doktorat, gdy zaszłam w ciążę. Chciałam się obronić przed rozwiązaniem, by mieć wolną głowę do nowego dziecka. Pelc mi skreślał jakieś fragmenty zamazując strony czerwonym długopisem. Wtedy nie było komputerów i trzeba było znaczne części przepisywać od nowa. On dodawał kolejne uwagi, które mu wcześniej nie przysły do głowy. Zrozumiałam, że jego zdaniem nie wolno ciężarnej przystępować do egzaminu doktorskiego. Lekko go podeszłam i zagadnęłam w tej sprawie. Przyznał, że tak myśli.

Jacek: – No tak, to nie było ładne, że nie powiedział tego wprost, tylko kluczył.

Teresa: – To prawda, ale on był w gruncie rzeczy nieśmiały. A co do ciąży, to właściwie ja się z nim zgadzam. Podczas ciąży nie chodzi się w bikini na plażę. Mamy swoje życie zawodowe, rodzinne, towarzyskie i prywatne. Nie trzeba tego wszystkiego płatać i Pelc bardzo dbał o to, by nie zamazywać granic. Za to go lubiłam.

Jacek: – Ale wróćmy do tego, za co go cenimy. Ja go cenię za tę „jasnościowość”, nawet jeśli czasami robiła z niego bezkrytycznego empirystę. Bo jednocześnie Pelc uczył naprawdę tego, co to znaczy „modelować myśl”.

Trzeba przyjąć jakieś stanowisko na próbę i potem poddać je w umyśle, czy w sumieniu, ostrej krytyce. Nie bronić swojej pozycji, tylko ją obalać. Tak jak sugerował Popper. Szukanie prawdy to nie jest wygrywanie w sporze, choć ciągle o tym zapominamy.

Janusz: – Ja go cenię za humanizm i seminarium z semiotyki. On był uosobieniem przedwojennego profesora, który uczył stylu i rzeczowości.

Teresa: – A ja go cenię za opiekę nad startującymi pracownikami. To on mi pozwolił po raz pierwszy pojechać za granicę na ciekawe stypendium i pracować tam z mądrymi ludźmi. Wspierał ludzi, na których liczył, a to w nauce jest bardzo ważne.

Cytowane fragmenty

Danuta Gierulanka i Andrzej Półtawski, *O istnieniu i strukturze dzieła literackiego. Uwagi na marginesie artykułu Jerzego Pelca* [Jerzy Pelc: *O istnieniu i strukturze dzieła literackiego. Rozważania logiczne nad „Studiami z estetyki” Romana Ingardena*, cz. I. „Studia Filozoficzne” 1958, nr 3], „Studia Filozoficzne” 1958, nr 3 (8), s. 142–157.

Jerzy Pelc, *Filozofia i eseistyka filozoficzna a naukowe badanie i nauczanie filozofii*, „Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria” 1999, R. VIII, nr 1 (29), s. 93–120.

Jerzy Pelc, *Głos laika w sprawie klonowania ludzi*, „Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria” 2001, R. X, nr 3 (39), s. 5–23.

Jerzy Pelc, *Wizerunki i wspomnienia*, Zakład Semiotyki Logicznej Uniwersytetu Warszawskiego, Polskie Towarzystwo Semiotyczne, Znak – Język – Rzeczywistość, Warszawa 1994.

Jerzy Pelc, *Wspomnienie o Klemensie – nasze wspólne lata szkolne i studenckie*, „Ruch Filozoficzny” 1992, T. XLIX, nr 3/4, s. 237–255.